APOSTATA

Krystyna Sztramska

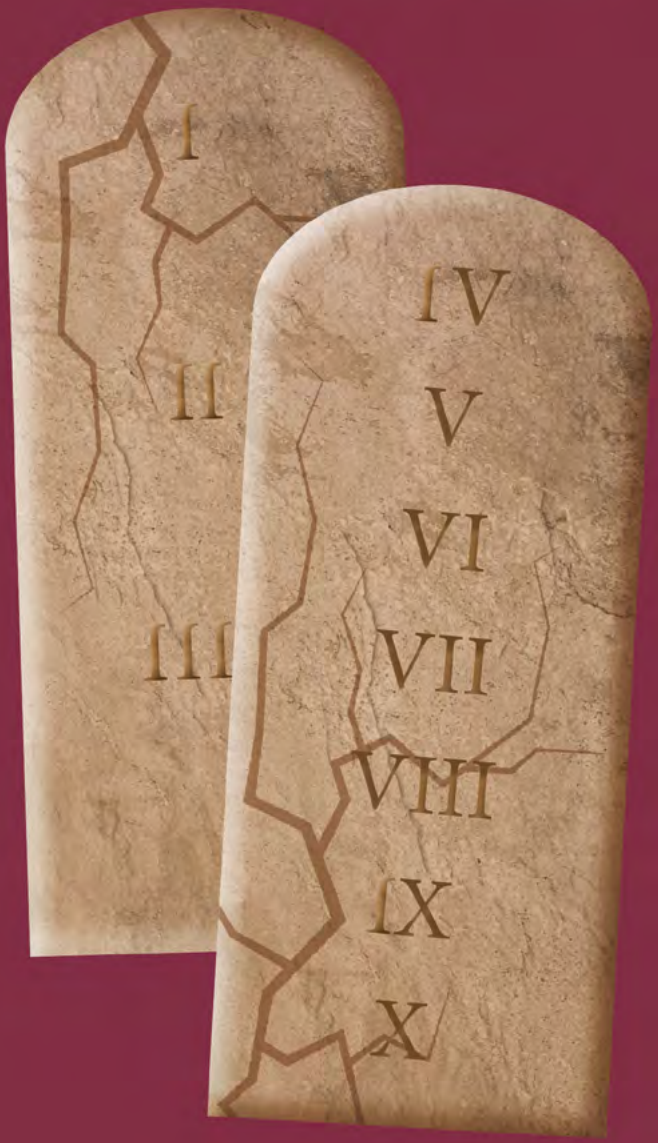

OPOWIADANIA

APOSTATA

Krystyna Sztramska

APOSTATA

opowiadania

Wydawnictwo Sióstr Loretanek
Warszawa 2022

© Copyright by Krystyna Sztramska 2021
© Copyright for the Polish edition
by Wydawnictwo Sióstr Loretanek, Warszawa 2021

Na okładce
serikbaib / stock.adobe.com

Projekt okładki
Barbara Scharf

Redakcja
s. Maria Rytel CHR

Opracowanie graficzne i łamanie
s. Karolina Masztalerz CSL

ISBN 978-83-8212-057-8
ISBN 978-83-8212-058-5 (ebook)

Wydawnictwo Sióstr Loretanek
ul. L. Żeligowskiego 16/20; 04-476 Warszawa
tel. 22 673-46-93; 22 673-58-39
sklep.loretanki.pl; sklep@loretanki.pl

Druk i oprawa
Drukarnia Loretańska, Warszawa-Rembertów

Spis treści

NIE BĘDZIESZ MIAŁ BOGÓW CUDZYCH PRZEDE MNĄ
Apostata 7

NIE BĘDZIESZ WZYWAŁ IMIENIA PANA, BOGA TWEGO NADAREMNO
Bóg mi świadkiem 44

PAMIĘTAJ, ABYŚ DZIEŃ ŚWIĘTY ŚWIĘCIŁ
Dorobek życia 74

CZCIJ OJCA TWEGO I MATKĘ TWOJĄ
Jestem wam to winna 97

NIE ZABIJAJ
Jasnowłosa 129

NIE CUDZOŁÓŻ
Prawo do szczęścia 181

NIE KRADNIJ
Zadośćuczynienie 214

NIE MÓW FAŁSZYWEGO ŚWIADECTWA PRZECIW BLIŹNIEMU SWEMU
Fałszywe oskarżenia 246

NIE POŻĄDAJ ŻONY BLIŹNIEGO SWEGO

Czerwone szpilki 305

ANI ŻADNEJ RZECZY, KTÓRA JEGO JEST

Baranek 331

Apostata

Jakub stał pod kościołem zupełnie sam. Pracownicy firmy pogrzebowej schowali się przed deszczem pod rosnącym dalej rozłożystym dębem, on zaś mókł, tak jak drzewa, ławki wzdłuż kościelnego ogrodzenia i rzeźbione figurki świętych na parapetach gotyckich okien. Dochodziły do niego strzępy rozmów ubranych w jednakowe, czarne uniformy mężczyzn; za to z kościoła nie przenikał do jego uszu żaden dźwięk.

– „Pewnie Kowalikowa postawiła na swoim" – pomyślał, spoglądając na niemy głośnik umieszczony nad drzwiami kościoła i uśmiechając się przy tym z satysfakcją. – „Jeszcze by trzeba dzwony usunąć lub wyciszyć, żeby ci, co mieszkają w pobliżu kościoła, mieli święty spokój".

– Piotrek, zobacz, czy już koniec! – W jego wewnętrzne rozważanie wdarł się głos jednego z mężczyzn.

Wywołany przebiegł obok niego, pokonał bez trudu kilka stopni i otworzył drzwi. Z przedsionka powiało zapachem igliwia i lilii.

– Już, panowie! – Dał znak ręką, żeby się zbierali.

Zdjęli z głów czapki, ustawili się w dwurzędzie i ruszyli do kościoła. Poprzez stukot ich butów dało się słyszeć żałosne: „Dobry Jezu, a nasz Panie, daj jej wieczne spoczywanie…”.

Jakub skulił ramiona. Dotychczas kościelne pieśni wywoływały w nim złość, dziś jednak na chwilę odezwało się dawno zapomniane uczucie żalu za czymś, co odeszło bezpowrotnie. Po kilku minutach pracownicy firmy pogrzebowej wyszli z kościoła, niosąc na ramionach brązową skrzynkę. Jakub spojrzał w jej kierunku. Trumna, w której zostało ukryte ciało matki, była skromna. Mężczyźni nieśli ją bez wysiłku. Po długiej, wyniszczającej chorobie matka wyglądała jak dziecko, a przecież pamiętał ją jako dobrze zbudowaną kobietę.

– Zabrać cię na cmentarz? – Usłyszał głos brata.

– Nie, mam tu swoje auto.

Zauważył, że ksiądz, wsiadając do karawanu, nagle spojrzał w jego kierunku, intensywnie i wymownie. Jakub poczuł w tym spojrzeniu naganę, choć nie uważał, żeby mu się należała.

Zza deszczowych chmur przedarło się na chwilę kilka promieni słońca.

– „No tak, sobota, Matka Boża suszy pieluszki” – pomyślał Jakub, rozbawiony, że tak niedorzeczna myśl przyszła mu do głowy. Przecież od lat był niewierzący, a tu takie „święte” skojarzenie.

Żegnając się z matką w kaplicy cmentarnej, uświadomił sobie, jaka była ostatnio krucha i delikatna.

Pozbawiona włosów, blada, smutna twarz, chude ręce i nogi. Kiedy się ociera o śmierć tak blisko, robi się w człowieku dziwna dziura.

Ludzi na pogrzebie nie było dużo. Kilkanaście osób z najbliższej rodziny, trochę sąsiadów, ksiądz, organista. Jakub zatrzymał się z daleka od nich, ale choć stał ze spuszczoną głową, czuł na sobie ich wzrok. Teraz byli już raczej pewni, że plotki o jego odstępstwie od Kościoła są prawdziwe. Może lepiej odejść, wycofać się po cichu i więcej do rodzinnej wsi nie wracać?

– Mam nadzieję, że przyjdziesz na stypę. – Brat pojawił się przy nim zaraz po tym, jak ciało matki spoczęło w grobie.

– Tak, tak, tylko pójdę jeszcze do taty. – Kłamstwo było chyba nieudolne, bo tamten wykrzywił z niezadowoleniem usta.

– Z pogrzebu taty dałeś nogę. Teraz też chcesz?

– Będę na pewno! – Poczerwieniał.

Kątem oka zauważył zbliżającego się księdza.

– Może zajrzysz na plebanię? Twoja mama zostawiła u mnie coś dla ciebie. Obiecałem, że oddam do rąk własnych.

– Postaram się – wyjąkał, czując, jak wzrok księdza bada jego twarz.

– A może chciałbyś o czymś pogadać?

– Nie, nie! – Żachnął się jak sztubak, któremu ktoś narzuca swoje zdanie.

– To może innym razem… – zamyślił się ksiądz. – Ale po te rzeczy po mamie się zgłoś. Bardzo jej na tym zależało.

Za księdzem zbliżyli się inni. Podawali mu rękę, składali kondolencje. Współczuli. Dziwnie się czuł, doświadczając tej serdeczności. Przecież nie przyjechał na pogrzeb matki z miłości, tylko z poczucia obowiązku. Z jakiejś moralnej powinności, do której sam przed sobą nie umiał się przyznać. Kiedy został na cmentarzu sam, ruszył jednak do miejsca pochówku ojca. Postał nad jego grobem na tyle długo, by tamci odjechali, nie czekając na niego.

Wrócił do swojego samochodu zziębnięty i zdenerwowany. Nie, nie miał już ochoty ani na rodzinne spotkanie, ani na rozmowę z księdzem. Lecz kiedy wsunął kluczyki do stacyjki i nacisnął na pedał gazu, bezwiednie skręcił na drogę prowadzącą do kościoła, za którym stała mała plebania z czerwonym dachem.

– Przecież to tylko chwila. – Przekonywał sam siebie, naciskając guzik dzwonka.

– A jednak jesteś! – Ksiądz popatrzył na niego ciepło. – Chodź, chodź, usiądź, zaraz przyniosę ten matczyny spadek.

Jakub usiadł, chowając ubłocone buty pod krzesłem. Rozejrzał się dokoła. Ten sam kredens z naczyniami, ten sam wieszak, te same obrazy, te same książki na regale. Przez dziesięć lat nic się tu nie zmieniło. Może tylko inne kwiaty stały na parapetach i inny kot spał w rogu pokoju na wyszywanej kordonkiem poduszce.

Wtedy, dziesięć lat temu, też był październik i deszcz padał przez kilka dni nieustannie. A jemu akurat w taki jesienny czas zachciało się nagle zmienić

całkowicie swoje życie. Tak sobie zaplanowali w trójkę: Jakub, Julian i Mateusz. Studenci czwartego roku dziennikarstwa, którzy dość mieli księży, Kościoła, nakazów, poczucia grzechu i świata, w którym szerzyły się ciemnota, fanatyzm i średniowieczne zacofanie. Program wyborczy pewnego polityka bardziej trafiał im do rozumu niż Boży Dekalog. Wolności im się chciało, powietrza, które nie dusi skostniałymi poglądami, odwagi w zadeklarowaniu swoich racji i innego widzenia świata.

– Czarny będzie cię przekabacał i może ci grozić. Musisz być twardy i się nie dać, to wygrasz! – instruowali go eksperci od apostazji.

Jednak zachowanie księdza odbiegało od tego, czego się spodziewał. Jakub już miał przygotowaną mowę o inkwizycji i paleniu czarownic na stosach, o rozwiązłości i zachłanności kleru, o zmuszaniu dzieci i młodzieży do chodzenia na Msze święte. Ale ksiądz nie pytał o powody, raczej wyjaśniał mu konsekwencje jego decyzji. Patrzył smutno na trzy egzemplarze aktu wystąpienia z Kościoła, który Jakub ściągnął z internetu i przywiózł ze sobą.

– Mam nadzieję, że wszystko sobie dobrze przemyślałeś, że to nie jest twoje nagłe widzimisię – powiedział, podsuwając mu do podpisania formularze.

– Myślałem o tym jeszcze przed bierzmowaniem, ale matka…

– Rozumiem! – przerwał mu. – Jedna kopia jest dla ciebie, jedna dla mnie, trzecia dla kurii. Na tym moja rola się kończy. Pamiętaj jednak, że Kościół cię nie

odrzuca. To ty sam się odrzucasz. I pamiętaj także, że apostazja wiąże się z całkowitym porzuceniem wiary chrześcijańskiej. I nie ma nic wspólnego z twoim negatywnym stosunkiem do księży.

Boże! Jak ksiądz to odgadł? Jak rozszyfrował jego pobudki? Przecież o tamtym nie mógł wiedzieć! Na czym jak na czym, ale na tajemnicy spowiedzi Jakub się nigdy nie zawiódł!

– Ale ja… – zająknął się – ja nawet księdza lubię…

Ksiądz uśmiechnął się.

– Ja ciebie też. Kiedy byłeś ministrantem, miałem nadzieję, że pójdziesz w moje ślady. No cóż, człowiek nigdy nie przewidzi planów Bożych. A jeśli chodzi o moje podejrzenie, że nie lubisz księży… otóż, to wciąż najczęstszy powód apostazji. Będę się za ciebie modlił.

– Szkoda księdza czasu i wysiłku – odpowiedział z ulgą, że jego tajemnica pozostała tajemnicą.

– To, że występujesz z Kościoła, nie znaczy, że przestajesz być dzieckiem Bożym. Sakramenty chrztu, Pierwszej Komunii, bierzmowania są nadal ważne.

– O nich zadecydowali rodzice, nie ja. – Skrzywił się.

– Ale czy rodzice pytają dziecko o zgodę, gdy je karmią, pielęgnują, ubierają, podają mu lekarstwa, wychowują je, zapisują do przedszkola, szkoły? Robią przecież tylko to, co dla niego dobre.

Jakub nie chciał wtedy podejmować dialogu z księdzem. Takie głupie gadanie o dobru dziecka wcale go nie przekonywało. Podziękował więc za poświęcony sobie czas i wyszedł, głośno wypowiadając słowa:

– Żegnam księdza. Mam nadzieję, że już się więcej nie spotkamy. I że wynik mojej prośby będzie pozytywny.

Wynik był pozytywny. Jakub był zaskoczony szybkim załatwieniem sprawy: już po miesiącu otrzymał kopertę zawierającą świadectwo chrztu z upragnioną adnotacją, że wystąpił z Kościoła katolickiego. Obnosił się z tym aktem chyba przez rok. Razem się obnosili z Julianem i Mateuszem. Namawiali innych, malując Kościół i księży w coraz ciemniejszych kolorach. Ale tamto „żegnam księdza" się jednak nie sprawdziło. Siedział bowiem tu dziś na księżowskiej plebanii i czekał na spadek po matce. Co to mogło być, co chciała mu podarować? Przecież miała inne dzieci, które się nią opiekowały bardziej niż on. A może dowiedziała się o Jakuba kłopotach? Może uzbierała dla niego trochę pieniędzy? Oczy mu pojaśniały, gdy ksiądz wrócił, trzymając w ręku coś w kształcie dużego, czarnego portfela. A jednak pieniądze, kochana mama, może go nimi uratować!

– Przepraszam, że tak długo mnie nie było – usprawiedliwiał się ksiądz. – Musiałem odebrać ważny telefon.

– Nic nie szkodzi. – Jakub się uśmiechnął. – Miałem trochę czasu na rozmyślanie.

– O czym? – Znów to uważne spojrzenie księżowskich oczu. Ale nie tak nachalne i wymowne jak na cmentarzu. Bardziej ojcowskie. Troskliwe. Czułe?

Nagle coś się w sercu Jakuba odblokowało, jakby ktoś włożył klucz do właściwego zamka i chciał otworzyć ukryte drzwi.

– Karinka, znaczy się moja córka, czeka na operację. Z dnia na dzień coraz gorzej widzi na jedno oko. Lekarze mówią, że to ucisk guza mózgu na nerw wzrokowy.

– Ile ma lat?

– Niedawno skończyła siedem. U nas kolejka długa, za to w Ameryce jest taki doktor, który by się podjął operacji od zaraz. Tylko to dużo kosztuje. Może te pieniądze od mamy pomogą! – Jakub z radością wyciągnął rękę po czarne, wypchane etui.

Po twarzy księdza przebiegł dziwny skurcz.

– Zawinę ci to w papier, przewiążę sznurkiem.

– Dziękuję, nie trzeba.

Ksiądz go jednak nie posłuchał i po chwili zgrabna paczuszka znalazła się w rękach Jakuba.

– Zadzwoń, jak będziesz chciał pogadać. A ten prezent od mamy otwórz dopiero w domu. I módl się o zdrowie córki. Ja też się pomodlę.

– Przecież ksiądz wie, że jestem apostatą.

– Tak ci się tylko wydaje. Z Panem Bogiem!

– Z Panem Bogiem! – odpowiedział machinalnie, podając księdzu rękę.

Kiedy wsiadał do samochodu, zobaczył księdza stojącego w oknie. Patrzył na niego chyba ze współczuciem. Wyjątek pośród nieczułego kleru czy jeden z wielu księży troszczących się o ludzi? Tego Jakub dobrze nie wiedział. Albo po prostu wiedzieć nie chciał.

Samochód jechał dość wolno, boczne drogi były pełne wybojów i dziur. Jakub trzymał kierownicę jedną ręką, drugą położył na paczuszce leżącej na

fotelu obok. Płynął od niej jakiś dziwnie gorący prąd. Jakub wciąż zadawał sobie pytanie, ile tam może być banknotów, o jakim nominale. Może warto byłoby jednak zajrzeć do środka jeszcze przed powrotem do domu? Wejść do mieszkania z rozradowaną miną i krzyknąć: „Przywiozłem ratunek dla Karinki!”. Zobaczyć szczęście na twarzy żony. Usłyszeć jej ciche: „Jednak Bóg nas nie opuścił”. Nie będzie jej za to ganił. Uda, że nie słyszał.

– O Boże! – jęknął, najeżdżając na jakąś rozpadlinę. Samochód zatoczył się niebezpiecznie. Jakub chwycił kierownicę obiema rękami, nacisnął na hamulec. Paczuszka podskoczyła i upadła na podłogę. Gdy auto zatrzymało się na poboczu, pochylił się, podniósł „portfel”, przycisnął go do piersi. To musiał być znak. Może mama chce, żeby już teraz mógł się ucieszyć, bez niepokoju i oczekiwania przez kilkadziesiąt minut jazdy. Niecierpliwym ruchem pociągnął za sznurek. W czarnym, skajowym etui był tylko jeden zamek błyskawiczny. Po sekundzie już widział całą zawartość portfela: grubą książkę, medalik i różaniec. Z książki, którą otworzył na pierwszej stronie, wypadła kartka. Okrągłe litery matki.

„To najbardziej niezwykła książka na świecie. Jest tak potężna, że ludzie od wieków są zabijani tylko za to, że ją czytają. Już tylko dlatego powinieneś ją przeczytać. Być może dopiero teraz się dowiesz, co odrzuciłeś. Bądź wierzący, a nie niewierzący, synku. Niech cię Bóg błogosławi” – przeczytał wolno. Zerknął na tytuł: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu.

– Cholera jasna! – przeklął ze złością. – To mnie mama urządziła. Oj, mamo, mamo! Zamiast pieniędzy te bezużyteczne przedmioty. Jak mogłaś!

Rozpłakał się, wciskając pięści do oczu. Ale nie z miłości płakał, tylko z bezsilności. Z tej głupiej nadziei, że matka go rozumie jak nikt inny, że wie, czego mu najbardziej w życiu potrzeba. Uchylił okno, bo nagle zabrakło mu w płucach powietrza. Wiatr wtargnął do wnętrza samochodu wraz z kroplami deszczu i mokrymi liśćmi. Jakub przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył gwałtownie w dalszą podróż. Przez otwarte okno na drogę z głuchym plaskiem upadały kolejne przedmioty: Pismo Święte, medalik, różaniec. Kiedy rzucał na asfalt kartkę z nic nie znaczącymi dla niego słowami, zobaczył stojącą na skraju drogi dziewczynę ubraną w przeciwdeszczowy płaszcz z kapturem i w gumowce. Wokół bioder dyndał jej wojskowy plecak. Patrzyła na niego zmrużonymi oczami. Zatrzymał się przy niej.

– Pieszo w taką paskudną pogodę? – zapytał.

– Nie miałam innego wyjścia. Uciekł mi autobus, a następny dopiero jutro. – Uśmiechnęła się łobuzersko. Była drobna i delikatna, a jednocześnie silna. Kosmyki jasnych włosów wysunęły się jej spod kaptura, tworząc na policzkach fantazyjne esy floresy. Gdyby nie ten strój, pomyślałby, że spotkał anioła.

– Podwiozę! – Otworzył drzwi samochodu. – Do miasta chyba jeszcze z pięć kilometrów.

– Nie boi się pan? – zażartowała.

– A niby czego? – zapytał takim samym zadziornym tonem.

– Mogę pana okraść albo donieść, komu trzeba, że wyrzuca pan śmieci z samochodu na drogę.

Zawstydził się, poczerwieniał.

– Masz rację, głupio zrobiłem.

Wysiadł z samochodu. Przebiegł kilkadziesiąt kroków. Podniósł różaniec i medalik. Na szczęście nic akurat nie jechało drogą i dewocjonalia nie ucierpiały zbyt mocno. Za to Pismo Święte było z wierzchu ubłocone, a list matki mokry. Można go było jednak podnieść, delikatnie złożyć i schować do Biblii.

– To nie śmieci! – Pokazał dziewczynie zebrane rzeczy.

Obejrzała je dokładnie, nie pokazując po sobie, jak bardzo ją to zdziwiło.

– Więc czemu? – zapytała cicho.

– Co czemu? – Nie zrozumiał pytania.

– Czemu pan to wyrzucił? Jeśli to panu niepotrzebne, proszę mi to podarować.

Spojrzał na nią podejrzliwie. Chyba mówiła poważnie.

– Jak masz na imię?

– Zosia.

– Widzisz, Zosiu, to pamiątki po mojej mamie. Jednak chciałbym te rzeczy zachować.

Uśmiechnęła się, rozjaśniła, jakby pośród jesiennej szarugi znów na chwilę wyszło słońce zza chmur. Z plecaka, który rzuciła na tylne siedzenie, wyturlało się kilka jabłek.

– Pozbieram je później. – Roześmiała się na głos. – Ale jednym poczęstuję pana teraz. Zawsze wracam do domu obładowana jabłkami.

Wziął do rąk jabłko, obrócił je w rękach, powąchał. Jego zapach wywołał przyjemne wspomnienia. Takie same jabłka rosły u mamy za domem. Pachniało nimi w sieni przez całą jesień i zimę.

– Zjem je później – powiedział, myśląc o Karince.

– A ja chyba teraz. Smaku jabłek z sadu mojej babci nie zastąpi żaden inny.

Zanurzyła zęby w soczystym miąższu, aż sok rozprysł się na boki.

– Pyszne! – westchnęła z błogim wyrazem twarzy.

– „Niesamowita dziewczyna" – pomyślał Jakub, kładąc nogę na pedale gazu.

Tamta poprawiła się na fotelu, zdjęła z głowy kaptur. Jej jasne włosy spłynęły falą po oparciu fotela.

– „Jednak anioł!" – Jakub się ucieszył i zdjął nogę z gazu. Nie trzeba się śpieszyć. Rozmowa z tą panienką może mu świetnie uprzyjemnić jazdę. To powinno zadziałać jak miód na jego skołatane nerwy.

* * *

Beata czekała na niego w domu. Nie wyglądała najlepiej. Przez tyle nieprzespanych nocy, pracę, codzienne bieganie do szpitala, brak czasu i chęci na dbanie o siebie wydawała się brzydka i stara.

– Strasznie było? Jadłeś coś? – zapytała.

– Kiedyś ci opowiem. Nie, nic nie jadłem od rana.

– Nie poszedłeś na stypę? Tak myślałam. W takim razie odgrzej sobie obiad w mikrofali. Ja lecę do Karinki. Dzwonili ze szpitala, że płacze dziś od rana.

– Prześpię się i zamienię cię wieczorem.

– Acha, byli tu Julian z Mateuszem. Znów się chyba szykuje jakaś akcja. Jakub, proszę cię, daj sobie już spokój z tą polityką. Wiesz, że Karinka cię potrzebuje!

– Chyba im powiem, żeby mnie na razie wyłączyli ze swoich planów.

– Tak byłoby najlepiej. – Cmoknęła go w policzek. Chwyciła torbę z ubraniami na zmianę dla Karinki i drugą z jedzeniem. – I pomyśl o tym, o co cię prosiłam! – rzuciła, wychodząc z mieszkania.

– Pomyślę – powiedział bez entuzjazmu.

Po dzisiejszym wyjeździe na pogrzeb mamy zupełnie nie wiedział, co się z nim dzieje. Musiał się koniecznie przespać, odpocząć, odreagować stres. Ale mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Jakub przewracał się z boku na bok na wygodnej dotychczas kanapie, walcząc z myślami, które jak chmara szerszeni obsiadły jego głowę. Śmierć mamy, choroba Karinki, ta fajna dziewuszka po drodze, Mateusz i Julian i ich pomysły na świecką Polskę. I do tego wszystkiego prośba Beaty. Zupełnie niedorzeczna. Niepasująca do tego, czym się Jakub zajmował, o co walczył.

Dzwonek przy drzwiach kazał mu się podnieść z kanapy.

– Mówiła ci Beata o dzisiejszej manifestacji? – Koledzy weszli bez żadnego powitania i rozsiedli się w fotelach.

– Coś wspominała… ale co tak nagle?

– Nie nagle, tylko przed pogrzebem nie chcieliśmy ci zawracać głowy. Szef wyznaczył nam nowe zadanie.

Mamy spacerować pod ogrodzeniem Kurii i krzyczeć przez megafon antyreligijne hasła. A po północy przyklejać kartki na drzwiach bazyliki z obraźliwymi tekstami na Czarnych. Chyba nadal jesteś za wycofaniem lekcji religii ze szkół, rozdzieleniem instytucji państwa od Kościoła, legalizacją związków partnerskich, miękkich narkotyków i prawa do aborcji!?

– Jasne, że tak! – Zapewnił gorliwie.

– Więc musisz to jakoś pokazać. Będzie piwko i… sam wiesz. Daj znać Beacie, że wrócisz nad ranem.

– Obiecałem żonie, że dziś moja kolej przy Karince!

– Jak chcesz, ale jak będziesz się wymigiwał od akcji, to będziesz wciąż zwykłym pionkiem.

– Od kilku lat jestem zwykłym pionkiem. Im bardziej się staram, tym dalej mi do władzy. Wam też! Nie zauważyliście tego?

– Coś ci dziś na mózg padło! – Mateusz podniósł się z fotela. – Jak zmienisz zdanie, wiesz, gdzie nas szukać. Swoją drogą, szef nie będzie z twojej decyzji zadowolony.

– Powiedzcie mu, że kiedy jego córka będzie umierać… – zaczął, ale nie potrafił nic więcej powiedzieć; musiałby pokazać kumplom łzy spływające po policzkach i zupełnie niemęską słabość.

– Dobra, stary, pogadamy jutro. – Julian skierował kroki do wyjścia. – Dziś pewnie nie dasz rady się spiąć na maksa.

Jak dobrze, że sobie poszli. Jakub poprawił poduszki na kanapie, przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu w kościach. Zamiast siedzieć tu samemu w domu

i rozmyślać, pójdzie do szpitala. Dowie się, czemu Mała tak dziś płacze…

* * *

Karinka rzeczywiście była cała zapuchnięta od płaczu. Pogłaskał ją po włosach, pocałował w czoło.

– To ja, kochanie – wyszeptał prosto do jej ucha.

– Jak dobrze, że jesteś, tatusiu – westchnęła z ulgą. Przytuliła jego dłoń do swojej twarzy. Była ciepła i miękka. Jak futro królika, który siedział w klatce obok łóżka.

– Mama gdzie?

– Poszła na chwilę do kaplicy. Zaraz wróci.

Poczuł, jak sztywnieją mu plecy. Przy Karince nigdy nie poruszali tematu Boga. Beata nie powinna była…

– Było ci dziś smutno? – zapytał.

– Ewka powiedziała, że umrę.

– Jaka Ewka? – Wzdłuż kręgosłupa przeszył go prąd.

– Ta z piątki. Powiedziała, że to jest oddział onkologiczny i że tu wszyscy w końcu umrą! Ona i ja też.

– Ty nie! – Jakub chwycił jej dłonie i położył na swojej twarzy. – Nie pozwolę na to!

Poczuł, jak ciało Karinki uspokaja się w jego obecności. Musi ją ochronić. Musi ją uratować. Będzie szukał pieniędzy na operację, gdzie tylko się da!

– Chce mi się spać! Tylko nie zostawiaj mnie samej, dobrze? – poprosiła.

– Nie zostawię! – przyrzekł.

Karinka odetchnęła głęboko, przytuliła twarz do poduszki i pluszowego misia leżącego obok. Jakub

patrzył na nią z ogromną miłością. Była śliczna. Taka drobniutka, delikatna i subtelna.

– „Ciekawe – pomyślał po raz pierwszy od kilkunastu lat – jak wyglądałoby tamto dziecko. Czy miałoby takie same usta, oczy, włosy? A może byłoby do Karinki zupełnie niepodobne?”.

Nagle jego wzrok padł na krzyż wiszący nad drzwiami. Próbował oderwać od niego oczy, ale nie mógł, bo krzyż przyciągał jego spojrzenie jak magnes.

– Tyle razy prosiłem personel szpitala, żeby go ktoś z tej ściany ściągnął. – Zdenerwował się nie po raz pierwszy tego dnia.

Wstał, wziął w ręce taboret. Jeśli na nim stanie, zdjęcie krzyża nie sprawi mu wiele trudności.

– Co robisz? – Beata nagle stanęła w drzwiach.

– To nie kościół – powiedział sarkastycznie. – Religia, wiara to osobista sprawa każdego człowieka. Jak się ma czuć w takim pomieszczeniu ktoś taki jak ja?

Beata chwyciła go za rękę i wyciągnęła z sali. Rozejrzała się dokoła, korytarz był pusty.

– Skoro nie wierzysz w Boga, to takie złączone na krzyż dwa kawałki drewna nie powinny mieć dla ciebie żadnego znaczenia – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Mnie bardzo przeszkadzają reklamy przesiąknięte seksem i przemocą, a jakoś nikt ich nie zdejmuje z billboardów, nie zabrania puszczać w telewizji, umieszczać w gazetach.

– Mieszasz pojęcia! – Uniósł się. – Kiedy wreszcie zrozumiesz, że Czarnym chodzi o władzę, o bogactwo, że Bóg, którego nie ma, a w którego każą ludziom

wierzyć, jest tylko dla nich pretekstem, przykrywką dla ich niecnych czynów!

– Skoro tak mówisz, to pewnie nie przyjmiesz od nich pomocy!

– Jakiej pomocy? – Zdziwił się.

– Rozmawiałam przed chwilą z kapelanem szpitalnym. Dzwonił do niego jakiś ksiądz z zaproszeniem na koncert. To koncert charytatywny. Pieniądze ze zbiórki mają być przeznaczone na leczenie dzieci z tego oddziału. Karinka jest pierwsza na liście. To może być dla niej wielka szansa!

– W cuda wierzysz? Czarni znaleźli kolejny sposób, by się obłowić. Oni potrafią tylko brać, a nie dawać!

– Przestań wciąż ziać do wszystkich nienawiścią, tylko posłuchaj. Jeśli nie widzisz tu Bożej Opatrzności, to jesteś już całkowicie głuchy i ślepy. Te pieniądze zebrane dla Karinki to byłby najpiękniejszy prezent, jakim Bóg mógłby nas obdarować! Takie cuda zdarzają się niezwykle rzadko!

– Cud się zdarzy, jak poruszę wszystkie swoje znajomości! A Bóg niech tam sobie siedzi na chmurze i cieszy się z ludzkiego nieszczęścia! Nie pierwszy raz zresztą!

– Czy ty słyszysz, co mówisz? – Beata była przerażona słowami męża. – Będę się za ciebie modlić, bo Zły cię już chyba całkowicie opętał!

– Już ktoś mi to modlenie dziś oferował! – wykrzyknął prawie. – Gdzieś mam te wasze modlitwy! Miałem zastanowić się nad twoją prośbą i właśnie podjąłem ostateczną decyzję! Na chrzest Karinki

się nie zgadzam! Rozumiesz? Nie zgadzam się i już! I więcej o to nie proś!

Beata pobladła. Przycisnęła drżące ręce do serca.

– Ksiądz kapelan mówił, że mógłby ją ochrzcić w każdej chwili. Teraz, kiedy jest chora, sakrament chrztu może jej bardzo pomóc – odpowiedziała cicho.

Spojrzał na żonę tak, jakby popełniła poważne przestępstwo.

– Rozmawiałaś o tym z księdzem za moimi plecami? Rozmawiałaś z nim bez mojej aprobaty? Bez mojego pozwolenia?

– A tak, rozmawiałam! Karinka jest także moją córką i będę o nią walczyć tak długo, jak będzie trzeba!

– Ty prymitywna, zaślepiona babo! – Jakub po raz pierwszy w życiu użył wobec Beaty tak obraźliwych słów. – Ile razy ci mówiłem, że w naszym domu głową rodziny jestem ja!? Nie ty ani żaden ksiądz, ani jakiś tam Bóg! Tylko ja!!!

– Możecie państwo gdzie indziej załatwiać swoje osobiste sprawy? – Jakiś mężczyzna wyszedł z sali obok. – Mój synek potrzebuje spokoju.

– Przepraszamy bardzo! – Beata wycofała się natychmiast do sali Karinki. Tamten mężczyzna też zniknął za drzwiami swojej.

Jakub został na korytarzu, podszedł do okna, oparł głowę o zimną szybę. Krople deszczu spływały po niej jak łzy. Niedaleko na parkingu stało jego auto. Jakub zapragnął nagle wsiąść do niego i pojechać, gdzie go oczy poniosą. Byle dalej od szpitala, od żony, Karinki, od tych wszystkich spraw i problemów, które dźwigał

ostatnio na swoich ramionach. Nagle zrobiły się zbyt słabe, by unieść przygniatający je ciężar.

* * *

Siedział w samochodzie już chyba z pół godziny. Patrzył tępym wzrokiem na zalany deszczem świat, ciemny, szary i smutny. Miał wyruszyć w nieznane, a nie miał siły nawet uruchomić silnika. Bolała go głowa, bolały go wszystkie mięśnie, bolało go serce. Czuł, jakby jego myśli, wola, wewnętrzna siła zostały związane grubym sznurem. Ciasno i nierozerwalnie. Bez nadziei na uwolnienie. Na siedzeniu obok leżały medalik, różaniec i Pismo Święte, a w nim list matki ze słowami, które powracały do niego jak bumerang: „Bądź wierzący, a nie niewierzący, synku!". Wzdrygnął się, z trudem prostując obolałe plecy. Musi się zmobilizować. Musi znaleźć w sobie siłę, by dać odpór głupim myślom. Nagle poczuł ogromny głód. Zjadłby cokolwiek, byle tylko nie ssało go tak bardzo w żołądku. Naraz przypomniało mu się podarowane mu przez tamtą dziewczynę jabłko. Tylko gdzie je położył? Już wie, rzucił je na tylne siedzenie. Przechylił się, przeciągnął ręką po tapicerce. Jabłko leżało pomiędzy fotelami. Czerwone, duże, pachnące. I jeszcze coś. Jakiś notes? Kalendarz? Telefon? Jakub zapalił światło. Jego oczom ukazał się małego formatu zeszyt ozdobiony kwiatowymi naklejkami.

– „Wiersze Zosi" – przeczytał nagłówek napisany ręcznie czerwonym mazakiem. Okrągłe, drobne litery. Podobne do tych z listu mamy.

Otworzył zeszyt niepewnie. Ugryzł kawałek jabłka. Powoli, z rozmysłem zaczął czytać, linijka po linijce.

„Po drugiej stronie już wszystko wiedzieć będę
po co cierpienie jak rzep niechciany
po co jest we mnie ten ból istnienia
i po co wciąż ręce wyciągam w stronę światła
dziurawiąc Niebo…”

Jakub zastygł w bezruchu. Wiersz mówił o cierpieniu. O jego cierpieniu? Chciał przeczytać go dalej, ale oczy przesłoniła mu dziwna mgła. Może nie miał prawa czytać go bez pozwolenia autorki? Wytarł oczy ręką, przerzucił kartki w poszukiwaniu adresu lub choćby nazwiska. Ale na stronach zeszytu były tylko słupki liter.

Po chwili wpadł mu do głowy zbawienny pomysł. Sięgnął po telefon, wybrał numer.

– Stefan?

– Czekaliśmy na ciebie w restauracji! – W głosie brata wyczuł pretensję.

– Przepraszam, nie mogłem, musiałem zrobić reportaż na cito! – Jak mu te kłamstwa zgrabnie wychodziły.

– Po co więc dzwonisz?

– Posłuchaj. Wracając z pogrzebu, zabrałem ze sobą dziewczynkę. Blondynka, szczupła, ładna.

– Za małolaty się bierzesz? To do ciebie niepodobne!

– Nie żartuj. Ta mała miała taki wojskowy plecak wypełniony jabłkami. Mówiła, że to jabłka z sadu jej babci.

– No i?

– Wiem tylko, że ma na imię Zosia. I że pisze wiersze. Zostawiła w moim aucie zeszyt z tą swoją pisaniną. Pewnie go teraz szuka. Nie wiem, jak mam jej go oddać.

– Zosia? Blondynka… babcia z sadem… Poetka, mówisz? Chyba wiem, o kogo chodzi, ale jeszcze się upewnię i oddzwonię!

– Byłbym bardzo wdzięczny!

Deszcz przestał padać i na niebie pojawiły się gwiazdy. „Jaki ten wszechświat jest wielki" – pomyślał Jakub, szukając w górze tej jednej, która nosi jego światło. Tak mówiła mama, gdy był jeszcze małym chłopcem: że każda gwiazda nosi w sobie czyjeś światło i że Bóg zapala je i gasi w chwili narodzin i śmierci każdego człowieka. Czy jego światło będzie jeszcze długo na tym dalekim niebie? Czy światło Karinki zgaśnie prędzej niż jego? Ból w piersiach kazał mu wrócić do ciemnych szyb samochodu, do trzymanego w dłoni zeszytu z wierszami i do jabłka o aksamitnej skórce i niezwykłym aromacie. Będzie musiał wziąć jeszcze jedną tabletkę na serce!

– Jakub, otwórz! – To Beata pukała w szybę auta. Chyba je zamknął od środka. Odblokował drzwi samochodu.

– Przepraszam, ale chciałem pobyć chwilę sam.

– Czasem tak trzeba – odpowiedziała cicho, biorąc z siedzenia Pismo Święte, medalik i różaniec. Na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

– Nie gniewasz się?

– Za co?

– Za moje złe słowa, tam w szpitalu.

– Gdy się kocha, gniewanie nie ma sensu.

– Dziękuję!

– Skąd to masz? – zapytała, wskazując trzymane w ręku rzeczy.

– Ksiądz mi dał. Prezent od mamy. Najbardziej dziwny, jaki kiedykolwiek dostałem.

– Musiała cię bardzo kochać.

– Wolałbym pieniądze. – Wykrzywił usta.

– Jeśli Pan Bóg jest na pierwszym miejscu, to i reszta się jakoś poukłada. Ona to wiedziała.

– Dlaczego ja tego nie wiem, choć jestem jej synem?

– Zapytaj Go?

– Kogo?

– Boga!

– Jak mam pytać kogoś, kogo nie ma? Kto nie istnieje?

– Jeśli mama podarowała ci Pismo Święte, to wierzyła, że On jest!

Jeszcze przed chwilą kłóciłby się o swoje racje, przedstawiał swoje argumenty. Teraz nie miał siły na spory. Chciał jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju, w swoim łóżku, otulić się kołdrą i wyobrazić sobie leżącą na swoim czole dłoń matki. Przez chwilę znów poczuć się dzieckiem.

– Po prostu otwórz tę książkę! – Beata w jego milczeniu odnalazła przestrzeń dla swoich słów. – Przeczytaj choć jedną stronę. Wtedy zdecydujesz, czy chcesz Mu znów otworzyć swoje serce, czy nie!

* * *

Nie spał całą noc, zaczytany w słowa, który płynęły ze stron starej, zniszczonej książki ze śladami palców matki. Nie wystarczyło mu kilkanaście zdań, nie wystarczyła mu jedna strona. Jeszcze nie wszystko rozumiał, jeszcze nie we wszystko wierzył, ale nie mógł oderwać oczu od kolejnych linijek. Buntował się przeciwko nim, kłócił się sam z sobą. A może to była sprzeczka z Bogiem? Nie były to słowa wulgarne, pełne nienawiści, jakich używali wraz z kumplami w akcjach przeciw klerowi, raczej żal i pretensja o to, z czym musiał się borykać, o co zabiegać, z czym walczyć. Beata zaglądała do jego pokoju kilka razy, ale widząc go w stanie dziwnego amoku, wycofywała się, cicho zamykając za sobą drzwi. Zasnął wyczerpany nad ranem. Nie słyszał porannej krzątaniny żony, lejącej się wody pod prysznicem, suszarki do włosów, szumu gotującej się wody w czajniku, przekręcania klucza w zamku. Obudził go dopiero dźwięk telefonu. Spojrzał na zegarek. Prawie dziesiąta! Musi wymyślić jakieś usprawiedliwienie dla swojej nieobecności w redakcji!

– Tak, słucham, Jakub Kalicki! – Numer, który wyświetlił mu się na ekranie, był mu jednak nieznany.

– To ja, Zosia! – Głos po drugiej stronie strzepnął mu z powiek resztki snu i zmęczenia. – Dzwoniła dziś do mnie moja babcia. Podobno zostawiłam w pana samochodzie zeszyt z moimi wierszami. Tak mówił pana brat. Już myślałam, że je zgubiłam. Byłoby mi ich trochę żal.

– Tak, tak! Mam je w domu. Jak mógłbym ci je podrzucić?

– Proszę mi podać swój adres albo przyjść na koncert charytatywny w następną sobotę do kościoła Podwyższenia Krzyża. Będę tam z naszą wspólnotą religijną. Babcia mówiła mi, że to niedaleko pana domu.

– Dobrze, przyjdę! – Uśmiechnął się radośnie, choć tamta tego nie mogła widzieć. Sam nie rozumiał, dlaczego tak bardzo chciał tę małą jeszcze raz zobaczyć! A swoją drogą, jak to na wsi wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą. W mieście ludzie nawet nie znają swoich sąsiadów zza ściany. Oddalają się od siebie jak galaktyki, wciąż dalej i dalej.

Wziął szybki prysznic, w biegu wypił kawę i chwycił kanapkę zostawioną na talerzu przez Beatę. Czuł się dziwnie lekko, jakby mu ubyło dwadzieścia lat, a przecież strach o życie córki nie mógł zmaleć tylko dlatego, że przeczytał kilka rozdziałów Pisma Świętego. Był spóźniony do pracy kilka godzin. Ale co tam, nadrobi zaległości. Wpadnie jeszcze na chwilę do szpitala, ucałuje Karinkę, uściska ją, powie jej do ucha, że ją kocha. Powinno być już po obchodzie lekarskim, może więc zapyta lekarza prowadzącego, czy wie coś o tym koncercie charytatywnym w kościele.

Przez korytarz szpitalny przewijało się kilka osób. Niektóre Jakub znał, inne wydawały się mu obce. Nagle z jednej z sal wynurzył się ksiądz. Trzymał na wysokości piersi bursę. Jakub wiedział, że tam w środku są białe Hostie, ukryte w opłatkach Ciało

Chrystusa. To znaczy kiedyś, gdy był jeszcze ministrantem, wierzył w to całym swoim sercem. Dopiero przed bierzmowaniem wszystko się w nim odmieniło. Już ten kawałek opłatka nie miał dla niego żadnego znaczenia. Ba, nawet bez poczucia winy przyjmował go wraz z innymi, klękając przed ołtarzem, choć kilka dni wcześniej wyznał w konfesjonale wszystkie swoje grzechy i ksiądz spowiednik po chwili milczenia odmówił mu rozgrzeszenia.

– Tchórz, morderca, złodziej! – Tak powiedział o nim młody wikariusz, patrząc mu przez kratki w oczy. Zrobił tylko znak krzyża i kazał się modlić, żeby miłosierny Bóg mu wybaczył. Obraził się wtedy na księdza. Nikt go wcześniej tak nie upokorzył. Jak miał powiedzieć matce, że do bierzmowania nie przystąpi? Jak miał spojrzeć kolegom i koleżankom w oczy? Wieś to nie miasto. Tu takie rzeczy się nie ukryją. Już wtedy chciał odejść z Kościoła, ale jakoś nie miał odwagi. Nosił więc ten uraz przez wiele lat. Dopiero partia, do której się zapisał, otworzyła mu oczy, że grzech to wymysł Czarnych, którzy chcą wyciągnąć od ludzi wszystkie wiadomości. Mogą wtedy manipulować ludzkimi sumieniami, mogą czynić ich bezwolnymi manekinami. A przecież każdy ma prawo decydować o swoim losie. Trzeba więc ratować ludzi przed kimś, kto chce zawładnąć ich duszami, rozumem, uczuciami.

– Szczęść Boże! – Ksiądz, mijając Jakuba, uśmiechnął się do niego przyjaźnie. Zrobił to po raz pierwszy, choć Jakub widział go na tym oddziale już nie raz.

Jakub spojrzał na niego zmieszany. Skinął głową. Odwzajemnij uśmiech. W końcu ksiądz to też człowiek, mimo że nosi czarną sukienkę.

– Tatuś, jesteś! – Karinka poznała go po głosie i dotyku rąk.

– Jestem, jestem! – Pocałował ją w czoło.

– Widziałeś kiedyś anioły?

Roześmiał się na głos. Jego córka zawsze zaskakiwała go nieziemskimi pytaniami.

– Nie, nie widziałem! – odpowiedział. – A dlaczego pytasz?

– Ewka powiedziała, że kiedyś będzie aniołem. Czy ja też będę?

– Ty już jesteś, zawsze byłaś! – Dotknął delikatnie jej policzka.

– A mówiłeś, że nie widziałeś aniołów. – Zachichotała filuternie.

– Żartowałem. A wiesz, że widziałem ostatnio jednego anioła trochę podobnego do ciebie? Miał na sobie deszczak i torbę z jabłkami.

Karinka zrobiła okrągłe oczy ze zdziwienia.

– Anioł z jabłkami? Opowiedz mi o nim!

Spojrzał na zegarek. Wskazówki jak zwykle szalały, gdy czas uciekał jak zając. Jednak przysunął krzesło do łóżka.

– Jechałem samochodem, gdy nagle go zobaczyłem stojącego na poboczu drogi. Od razu go poznałem. Deszcz padał grubymi kroplami, a on sobie z tego nic nie robił. Tańczył w tym deszczu, podnosił skrzydła, robił skręty i piruety. Jasne włosy fruwały mu wokół

głowy jak złote nitki. Śmiał się dźwięcznie jak Mały Książę na jednej z gwiazd. Przefrunął później do mojego auta, usiadł na fotelu. Gadaliśmy ze sobą, jakbyśmy znali się od lat. Powiedział, że się jeszcze spotkamy, że przyleci na koncert charytatywny. Na pożegnanie zostawił mi jabłko. Czerwone, duże, soczyste. Mam je w samochodzie, trochę przeze mnie nadgryzione, ale wciąż pachnące i aromatyczne.

– Jak miał na imię?

– Zosia, miał na imię Zosia.

Karinka westchnęła. Wyciągnęła do Jakuba ręce.

– Przyniesiesz mi to jabłko?

– Oczywiście, już biegnę!

– A na ten koncert zabierzesz mnie ze sobą? Nigdy nie widziałam prawdziwego anioła.

Jakub poczuł nagle na twarzy dziwny powiew. Zrobiło mu się ciepło na sercu i tak jakoś miękko w nogach. Dobrze by było, gdyby Karinka poznała Zosię. Obie miały w sobie taką dziwną jasność i dobroć w oczach. Dwa małe, cudowne anioły.

– Jeśli pan doktor pozwoli… – Jakub nie umiał powstrzymać łez. – Jeśli pozwoli, pójdziemy tam w trójkę, ty, mama i ja!

* * *

Kościół był wypełniony po brzegi. Pacjenci szpitala siedzieli z przodu. Ci, którym lekarz wydał zezwolenie. Jedni na wózkach, inni na kolanach swoich bliskich, jeszcze inni, trzymając się balkoników. Karinka wy-

glądała na szczęśliwą. Siedziała między rodzicami, Jakubem i Beatą. Wciąż rozglądała się dookoła, jakby kogoś wypatrywała swoim zdrowym okiem.

– Gdzie ten twój anioł? – zapytała w końcu.

Jakub także szukał znajomej postaci. Ale Zosi nigdzie nie było widać. Za to tu i ówdzie pojawiali się jacyś księża otoczeni wianuszkiem młodych ludzi. Któryś z nich pomachał mu ręką. Tak, to ksiądz kapelan. A obok niego też ktoś znajomy? No oczywiście, to proboszcz z rodzinnej parafii. Też uniósł rękę do góry w geście powitania. Twarz Jakuba rozjaśniła się jakby pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Dał ręką znać, że widzi, że odwzajemnia. Mój Boże, gdyby go teraz zobaczyli Mateusz i Julian, pękliby ze śmiechu. On, Jakub, zatwardziały ateista, i ta nagła radość na widok Czarnych. Istna błazenada.

– Wchodzą, już wchodzą! – Beata szturchnęła go w łokieć.

– Gdzie, gdzie? – zapiszczała Karinka.

– Z zakrystii. Ależ pięknie wyglądają!

Rzeczywiście, wyglądali niezwykle w jasnoniebieskich strojach, z jesiennymi liśćmi wpiętymi we włosy lub wsuniętymi za paski spodni i spódnic, w kieszonki bluzek i koszul. Część wykonawców ustawiła się w półkolu. Pozostali usiedli przy ustawionych z przodu instrumentach. Niektórzy podnieśli trzymane w rękach skrzypce, klarnety, flety. Niewysoka kobieta w czarnym kostiumie stanęła naprzeciwko nich. Dyrygentka. Po kilku minutach w kościele zapadła cisza. A później rozlały się dźwięki. Najpierw wyfrunęły ze

skrzypiec. Jakub aż zamarł z wrażenia. Jasne włosy, jasne oczy trzymającej skrzypce dziewczyny były dziwnie znajome.

– Jest, jest mój anioł – szepnął, nachylając się ku Karince i pokazując jej palcem Zosię.

– Jest taki, jak sobie wyobrażałam – westchnęła Mała. Wysunęła brodę do przodu, zacisnęła ręce na sercu. Znieruchomiała. Zespół grał, a ona i Jakub patrzyli tylko na Zosię, anioła, który zamiast deszczaka miał niebieską sukienkę, a zamiast jabłek skrzypce, z których płynęły pod sklepienie cudowne, przejmujące dźwięki. Gromkie brawa odzywały się po każdym instrumentalnym utworze, po każdej śpiewanej przez chór pieśni. Kiedy Zosia grała solówki, Jakub nie umiał oderwać od niej oczu. Próbował dać jej jakiś znak, że jest, że ją widzi. Unosił się, wyciągał szyję jak struś, uderzał rękami nad głową najgłośniej jak umiał. Rozglądał się dokoła, czy wszyscy ją widzą? Słyszą? W pewnym momencie zauważył z prawej strony nawy jakby znajomą twarz. Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, aż Beata podążyła za jego wzrokiem. Tak, to musiała być ona. Czas nie zmienił jej rysów, świeżości cery, błękitu oczu. Patrycja. Jego Patrycja.

Wspomnienia sprzed kilkunastu lat spłynęły na niego nagle jak gorąca lawa. Spacery przy świetle księżyca. Rozmowy. Czekanie na kolejne randki. Wiejskie potańcówki. Zasypianie z jej zdjęciem pod poduszką. Szukanie miejsc, gdzie mogli być zupełnie sami, trzymając się za ręce, obejmując i tuląc. Pocałunki, bliskość, którą się nie mógł nacieszyć i której wciąż

mu było mało. Pragnął jej wtedy jak nikogo innego na świecie. Wymykał się nocami z domu, opuścił w nauce. I później ta wiadomość, która ścięła go z nóg. Nie był gotowy na ojcostwo. Oboje nie byli gotowi na rodzicielstwo. Powiedział jej o tym, uciekając oczami pod jej i swoje stopy. Wycierał łzy płynące jej po policzkach. Przekonywał, że może kiedyś, gdy zdadzą maturę, skończą studia, pobiorą się. Kiwała głową jak trzymana przez niewidzialnego aktora kukła. Ukradł matce pieniądze przeznaczone na węgiel, schowane w bieliźniarce pod pościelą. Tamtej zimy palili w piecu zbieranym w lesie chrustem, wykopanym z bajorka torfem, kawałkami drewna, które spadły leśnikom z wozów i ciągników. Ale w zamian mógł zaprowadzić Patrycję tam, gdzie pozbywano się problemu w ciągu piętnastu minut. Gdy drzwi gabinetu lekarskiego zamknęły się za jego ukochaną, uciekł jak szczur z pokładu tonącego statku. Wtedy widział ją ostatni raz. Tchórz, złodziej, morderca!

– Tato, czemu płaczesz? – Karinka nie rozumiała jego łez.

– To ta muzyka tatę wzrusza – odpowiedziała za niego Beata, udając, że nie widzi spojrzeń męża ku kobiecie z dzieckiem na ręku.

Dopiero teraz je zobaczył. Przytulone do jej piersi maleństwo. A więc Patrycja ułożyła sobie życie. Ma na pewno kochającego męża, dom. Spełniła się jako matka i żona. Może zapomniała o tamtym, po którym po kryjomu opuściła wieś. Nie będzie do niej podchodził. Nie będzie burzył w niej tego cudowne-

go spokoju. Wystarczy, że on przypomniał sobie to wszystko, co było.

– Tatuś, już koniec! – Karinka chyba była już zmęczona, bo oparła głowę na jego ramieniu.

Rzeczywiście, koncert się skończył, młodzi wykonawcy opuścili prezbiterium, słuchacze zaczęli się rozchodzić. Tak się zamyślił, że nie zauważył, czy były jakieś przemówienia, podziękowania, wiwaty.

Teraz powinien tylko poszukać Zosi. Nie zdążył jednak wstać, gdy zobaczył ją biegnącą w jego kierunku. Wyjął zeszyt z wierszami z kieszeni.

– Bardzo panu dziękuję. Są rzeczy, do których człowiek się bardzo przywiązuje! – Znów te jasne oczy i twarz. – A to pewnie pana córka Karinka? Ksiądz proboszcz opowiadał mi o niej. Ten koncert charytatywny to jego pomysł!

Karinka mało nie oszalała ze szczęścia, gdy Zosia przykucnęła obok niej i przytuliła ją mocno do siebie. Za to Jakub stał jak słup soli, zupełnie nie wiedział, jak się zachować, co powiedzieć. Tyle dobrego działo się poza jego wolą i wiedzą. Zupełnie na to nie zasłużył. Jak to wszystko ogarnąć?

– Zosiu, Zosieńko! Zniknęłaś bez uprzedzenia, a przecież mieliśmy zaraz po koncercie świętować twoje piętnaste urodziny! Goście już czekają! – Nagle za plecami Zosi pojawiła się Patrycja.

Jakub wstrzymał oddech.

– Przepraszam państwa, ale moja córka wciąż gdzieś znika.

– Jak anioł! – zachichotała Karinka.

Dopiero teraz kobieta zwróciła na nią uwagę. Pobladła. Przerzuciła spojrzenie na Beatę, później na Jakuba. Jeśli go rozpoznała, nie dała tego po sobie poznać.

– Ależ one są do siebie podobne! – wyrwało się Beacie z piersi. Rzeczywiście, dziewczynki wyglądały jak siostry.

Siostry!?

Jakub poczuł, jak całe jego ciało pokrywa pot. Grube krople pojawiły się także na czole, nad ustami, na skroniach. Wyciągnął rękę z zeszytem w kierunku Zosi. Ta dygnęła przed nim jak na szkolnej akademii.

– Dziękuję. Gdybyście państwo chcieli nas kiedyś odwiedzić…

Skinął głową, czując w gardle dziwną gulę. Jeśli ten anioł miał dziś piętnaste urodziny, to… – Jakub w myślach wykonał rachunek, który zachwiał jego dotychczasową pewnością.

– Oczywiście, zapraszamy! – Patrycja chwyciła córkę za rękę i skierowała się ku mężczyźnie z dzieckiem na ręku. Wyglądało to trochę tak, jakby od nich uciekała. Jakub oparł się ręką o ławkę. Nabrał nosem w płuca haust powietrza i wypuszczał je wolno ustami. Musiał się jakoś uspokoić, opanować nerwy.

– Jakub, co się dzieje? – Beata znała jego chwile słabości.

– Opowiem ci o wszystkim później. – Przeprosił ją oczami. – Ale najpierw, pozwól, że porozmawiam z tamtą kobietą. Ona musi mi coś wyjaśnić!

Zawołał ją po imieniu. Odwróciła głowę, zatrzymała się. Powiedziała coś do mężczyzny i Zosi. Skinęli

głowami i ruszyli ku wyjściu. Jakub westchnął głęboko, wytarł z czoła pot. Przytrzymał dłonią szalejące w piersi serce. Za chwilę się wszystko wyjaśni. Za chwilę upewni się, czy to wszystko, co go ostatnio spotyka, ma jakiś głębszy sens!

* * *

Jechał do domu, podśpiewując wesoło. Po wizycie u swoich miał w sobie ogromne pokłady ciepła i spokoju. I jeszcze ta rozmowa z księdzem na plebanii. Z początku szło mu niezdarnie i jąkał się co drugie słowo. Ale ksiądz był cierpliwy. Siedział naprzeciwko niego i słuchał, patrząc mu w oczy. A on odkrywał przed nim wszystko, co mu zalegało w duszy. Najbardziej głupio mu było, gdy mówił o walce z Kościołem i o tym, jak zaprowadził Patrycję do lekarza. I o tym, że była od niego mądrzejsza, bardziej kochająca. Wzięła na siebie cały ciężar urodzenia i wychowania dziecka, uciekając przed zimnymi narzędziami lekarskimi, które zamiast ratować życie, tego życia pozbawiają. Ksiądz go jednak nie oceniał, nie krytykował.

– Każdy ma w sobie jakieś ciemne plamy – powiedział, gdy Jakub zakończył swoje zwierzenia. – Ważne, czy się pozwoli im sczernieć, czy też chce się swoje rany wyleczyć. Oczywiście, samemu to trudno, ale z Jezusową pomocą…

– Czy ja też mógłbym?

– Chcesz powrócić do Kościoła? Dlaczego?

– Bo mnie Bóg, przeciwko któremu bluźniłem, nie opuścił. Wie ksiądz, te prezenty od mamy, różaniec, medalik, Pismo Święte, jej modlitwy i modlitwy innych, chrzest i udana operacja Karinki, ludzie, którzy w tym pomogli, Zosia i moja żona, która wspiera mnie we wszystkim… I tamci, którym moje życie było obojętne. Po tym, jak wystąpiłem z partii, nachodzili mnie codziennie, najpierw straszyli, później obiecywali pieniądze, awans, miejsce na samym szczycie. Nikt mnie nie zapytał o zdrowie Karinki, nikt z nich nie podał mi ręki, nie współczuł, nie pomógł. A Czarni, och, przepraszam, a księża – tak. Zupełnie bezinteresownie. A raczej interesownie, bo z miłości. A ta jest bezcenna.

– No dobrze, ale powrót do Kościoła nie jest taki łatwy, jak myślisz! – Ksiądz proboszcz udał srogą minę.

Jakub odpowiedział z szelmowskim błyskiem w oczach:

– A mówił ksiądz, że zawsze będę dzieckiem Bożym!

– Zapamiętałeś, to dobrze. Żartowałem z tym trudnym powrotem, ale musisz zdać egzamin ze znajomości katechizmu. No i *Credo* wyrecytować bez zająknięcia.

– Już mnie wszystkiego moje anioły nauczą. Już mi teraz nie odpuszczą. Byle tylko ksiądz się zgodził.

– Ja? Jeśli Bóg się zgadza, ja mogę tylko przyklasnąć!

Miał się więc Jakub z czego cieszyć. Dlatego jechał teraz do domu, podśpiewując wesoło. Promienie słońca wpadały przez szyby samochodu i grzały, choć zima jeszcze nie odeszła na dobre. W rowach, pod

drzewami, na leśnych ścieżkach, które mijał, leżały resztki śniegu. Ale droga była już czarna i sucha. Jakub uchylił okno. Powietrze, które wpuścił do środka, było rześkie i mroźne. Oddychało się nim cudownie. Nad kierownicą huśtał się różaniec, do piersi przylegał medalik po matce. Wokół pusto, tylko drzewa, krzewy, kilka wron na śniegu, przebiegający przez drogę zając. Cicho. Pięknie. Jakoś tak uroczyście.

Nagle przed nim pojawiła się znajoma postać, ubrana w kurtkę z futrzanym kapturem i długie, zakończone kożuszkiem buty. Wokół bioder dyndał jej wojskowy plecak. Jakub zatrzymał auto. Otworzyła drzwi, usiadła, wpychając plecak pomiędzy stopy.

– Znów ci uciekł autobus? – zapytał, uśmiechając się.

– Nie! – odpowiedziała, rozcierając ręce i chuchając w nie raz po raz. – Wiedziałam, że będziesz dziś tędy jechał. Karinka mi mówiła!

– Lubi, jak do nas przychodzisz!

– Ja też! Chcesz jabłko? Babcia ma jeszcze całkiem duży zapas!

– Yhy. – Uśmiechnął się. Zapach i smak jabłek zawsze kojarzył mu się z tamtą chwilą, gdy zobaczył swojego anioła po raz pierwszy.

– Napisałam wczoraj nowy wiersz, chcesz posłuchać?

– Jasne! – Ucieszył się, że mu zaufała.

– Tylko się nie śmiej!

– Jakżebym śmiał!

Popatrzyła na niego przymrużonymi oczami. Jakiś czas temu odbyli wszyscy ważną rozmowę i nie było po niej łatwo. Teraz lody pomału topniały. Trzeba było

jednak dużo czasu, wielu trudnych rozmów i dużo dobrej woli każdej ze stron, aby tak było.

– Więc słuchaj!

– Zdania nie zaczyna się od słowa „więc”. – Poprawił ją, gryząc jabłko.

– Jak się je, to się nie mówi! – Odwdzięczyła się.

Wybuchli śmiechem. Ojciec i córka. Dwa serca, którym po wielu latach Bóg pozwolił się odnaleźć.

– Czytasz czy nie? – zapytał.

Wyciągnęła z plecaka zeszyt. Otworzyła na ostatniej zapisanej stronie.

– „Kocham cię, tato!” – Zaczęła i umilkła.

Nie ponaglał jej, nie pośpieszał. Samochód z cichym warkotem przemierzał kolejne kilometry, a oni siedzieli obok siebie w zupełnym milczeniu.

– Tak długo na ciebie czekałam, tak długo za tobą tęskniłam – szepnęła w końcu z głośnym westchnieniem.

Poczuł ciężar jej wyznania. Objął ją ręką.

– Teraz to już zawsze ja będę czekał na ciebie – odparł cicho. – I tęsknił będę z każdym dniem coraz bardziej. A teraz już czytaj, kochanie, czytaj. Jak ten wiersz się zaczynał? Kocham cię, tato?

Katechizm Kościoła Katolickiego

2088 Pierwsze przykazanie domaga się od nas umacniania naszej wiary, strzeżenia jej z roztropnością i czujnością oraz odrzucania wszystkiego, co się jej sprzeciwia. […]

2089 *Niewiara* jest lekceważeniem prawdy objawionej lub dobrowolną odmową wyrażenia zgody na nią. „Herezją nazywa się uporczywe, po przyjęciu chrztu, zaprzeczanie jakiejś prawdzie, w którą należy wierzyć wiarą Boską i katolicką, albo uporczywe powątpiewanie o niej; *apostazją* – całkowite porzucenie wiary chrześcijańskiej, *schizmą* – odmowę uznania zwierzchnictwa Biskupa Rzymu lub wspólnoty z członkami Kościoła uznającymi to zwierzchnictwo”.

Bóg mi świadkiem

„Pozostałe rozdziały dostępne w pełnej wersji e-booka.”